

Mirosław Lenart, *Patavium, Pava, Padwa. Tło kulturowe pobytu Jana Kochanowskiego na terytorium Republiki Weneckiej*, Warszawa 2013, IBL – „Pro Cultura Litteraria”, Studia Staropolskie. Series nova, t. 33, ss. 260, il. 34

Spośród nadzwyczaj rozległej, i wciąż przyrastającej, literatury poświęconej najwybitniejszemu z poetów polskiego renesansu jedynie część – czy to z uwagi na jej syntetyzujący charakter, czy też wagę zawartych w niej ustaleń – stanowi trwały, nieodzowny punkt odniesienia dla wszystkich tych, którzy wciąż na nowo naukowej refleksji poddać pragną spuściznę Jana Kochanowskiego, jedynie część stale powraca w odwołaniach, cytacjach i przypisach, i to na nich w pewnym sensie wznosi się gmach naszej, nadal niepełnej, wiedzy o mistrzu z Czarnolasu. Do tego wąskiego grona publikacji, obok prac Stanisława Windakiewicza, Mirosława Korolki, Janusza Pelca czy Zofii Głombiowskiej, dopisać z dużym prawdopodobieństwem trzeba będzie wkrótce, a przeświadczenie to narzuca się po pierwszej zaledwie lekturze, także książkę Mirosława Lenarta *Patavium, Pava, Padwa. Tło kulturowe pobytu Jana Kochanowskiego na terytorium Republiki Weneckiej*. Stać się tak powinno nie tyle z racji jakiegoś szczególnie całościowego ujęcia, jakie miałyby być w niej zaprezentowane, bo o takie obecnie coraz trudniej, co raczej z powodu niebagatelnego wkładu we właściwe rozumienie dobrze już, zdawałoby się, rozpoznanych tekstów, jakie wnosi omawiana pozycja. Nader odkrywczą perspektywą okazuje się w jej przypadku, od lat z uporem postulowana, lecz dopiero tu w prawdziwie rzetelny sposób nakreślona, perspektywa włoska, a ściślej rzecz ujmując, taka, która bierze pod uwagę wszelkie możliwe dziś do wysondowania doświadczenia kulturowe początkującego poety, jakie wynieść mógł ze swego kilkukrotnego, kilkakrotnie też przerywanego, pobytu w północnej Italii. Dzięki temu niby oczywistemu, a tak trudno uchwytnemu kontekstowi nowym głosem przemawiać zaczyna niejedna z fraszek, *Pieśń świętojańska o Sobótce* czy *Satyr*, ujawniając swoje długo skrywane, a nieraz nawet nieprzeczuwane tajemnice. Przed Lenartem, bezkompromisowym i pozbawionym kompleksów w żmudnym rekonstruowaniu świadomości padewskiego żaka, nie ostają się nawet najbardziej utrwalone w naukowym dyskursie aksjomaty, dzięki czemu obcowanie z jego książką tym bardziej nabiera cech pasjonującej intelektualnej przygody.

Zaznaczyć przy tym należy, że Autorowi, jak mało komu spośród współczesnych znawców dawnej poezji, dane było uzyskać realne możliwości podążania temu ambitnemu zadaniu. Cztery lata spędzone na Uniwersytecie w Padwie zaowocowały w jego przypadku rozległymi kontaktami zawodowymi oraz doskonałym rozeznanie w historyczno-kulturowych realiach włoskiej ekskursji mistrza Jana, nie mówiąc już o dostępie do rozlicznych, słabo rozpoznanych przez rodzime literaturoznawstwo, tekstów z epoki. Wyjątkową wartość badań prowadzonych *in loco* doceni zwłaszcza czytelnik

pragnący poznać Padwę taką, jaką widzieć mógł ją ciekaw świat szesnastowieczny przybysz zza Alp. Mirosław Lenart nie szczędzi bowiem starań, by na podstawie solidnych źródeł naukowych odtworzyć tę dawno zatraconą, choć znajdującą pewne nikłe odbicie i we współczesnym kształcie miasta, rzeczywistość i postawić ją możliwie sugestywnie i w pełnej bujności przed oczy odbiorcy. W efekcie, zanim jeszcze sięgnie on po któryś z pozostawionych przez Kochanowskiego tekstów, prowadzi swego czytelnika, a jego niewątpliwym sprzymierzeńcem jest tu swobodny, skutecznie przytrzymujący uwagę styl wypowiedzi, a to ku gwarnej Porta Portello, a to pod sąsiadujące z Bazyliką św. Antoniego cieniste portyki, a to nad nieodłączne od krajobrazu weneckiej laguny kanały, pośród krzątających się przy swej pracy *barcaioli*.

Szczególnie owocna w kontekście tych barwnych deskrypcji okazuje się próba rozstrzygnięcia tak podstawowej kwestii jak faktyczny adres, pod którym rezydował w czasie swoich padewskich studiów krakowski żak. Dzięki dużej wnikliwości, ale i zdrowej podejrzliwości wobec raz zaproponowanych ustaleń, unieważnia Lenart, chyba na dobre, supozycje, jakie w tym względzie poczynili Jan Ślaski i Henryk Barycz, i sięgając do kluczowych dla sprawy źródeł, demaskuje pewien drobny, acz spychający dyskusję na ten temat na całkiem fałszywe tory, błąd językowy. W rezultacie krytycznej lektury dostępnych materiałów dochodzi do wniosku, że wynajmowaną przez Polaków bursę umiejscowić należałoby w okolicach niejakiej Crosara del Santo, to jest nieodległego od głównego placu miasta skrzyżowania via Rudena z via Galilei. Ale i na tym stwierdzeniu badacz nie poprzestaje. Wyznaczonej z takim mozołem lokalizacji postanawia przydać opis jej najbliższego otoczenia, by tym pełniej oddać bezpośredni *habitat* młodego humanisty z okresu jego włoskiej edukacji. Rozważania te, obrazujące zastosowaną z dobrym skutkiem i w innych fragmentach książki metodę, dopełnia kompletniejszy, bo sporządzony w oparciu o nieuwzględniane dotąd dokumenty, wykaz osób, które pobierały nauki w italskiej Alma Mater w tym samym, co Kochanowski, czasie. Nie trzeba przekonywać, jak cenne są to ustalenia dla rekonstrukcji grona tzw. padewczyków.

Sugestywny w kreślonych przez siebie opisach i snuty raz po raz opowieściach, a zarazem drobiazgowy i rzeczowy jak ktoś, kto nie tylko opisywane miejsca doskonale zna z autopsji, ale i z rzadkim entuzjazmem próbuje przeniknąć ich odległe dzieje, odtwarza Autor rozprawy świat, który na rozmaite sposoby przeniknął, bądź przeniknąć mógł, do późniejszej twórczości zaznajomionego z nim poety. Niekiedy dopiero uświadomienie sobie, jakie widoki musiał oglądać wychowany pod całkiem inną szerokością geograficzną przybysz, jakie typy ludzkie mijał w drodze na uczelnię, w jaki sposób i gdzie spędzał wolny od zatrudnień czas, pozwala pojąć tkwiące w niej, a nie narzucające się pozbawionemu tego typu doświadczeń odbiorcy, sensory. Nie w przypadku każdej z omawianych przez siebie kwestii, casus choćby kupca z fraszki III 39, wytycza Lenart szlak całkowicie dziewiczy. Czuje się raczej w obowiązku odnotować rozpoznane dotąd w literaturze przedmiotu filiacje,

rzadko wszakże bez własnego, wtrąconego z perspektywy obytego z włoską rzeczywistością badacza, komentarza. I tak, powiązane przez Tadeusza Ulewicza z praktyką weneckiego handlu towary „w sklepie wielkim” (*O fraszkach*, w. 5) mogłyby być – jego zdaniem – porozkładane przed cudzoziemskim klientem w nadającym się do tego najlepiej Palazzo della Ragione. W wielu jednak miejscach proponuje on odczytania absolutnie nowe, może nie zawsze łatwe do natychmiastowego zaaprobowania, zwłaszcza gdy dość mocno reorganizują one wiedzę o dobrze znanych i wielokrotnie analizowanych utworach, ale opatruje je na tyle solidną argumentacją, że oprzec się mają szansę najdalej nawet posuniętemu sceptycyzmowi.

Na wypuklenie zasługuje szczególnie kilka z nich, tych, które z uwagi na swoje znaczenie mają szansę upowszechnić się i na dłużej zakorzenić w poświęconym Kochanowskiemu dyskursie naukowym. Do szczególnie interesujących należy z pewnością próba rzucenia nowego światła na zagadnienie w dostatecznym, wydawałoby się, stopniu opracowane już przez Sante Graciottiego w artykule *Fraszki i „fraszki”. Z Padwy do Polski*¹. Rzecz mianowicie dotyczy semantycznych konotacji neologizmu, jaki poeta umieszcza w tytule zbioru swych polskojęzycznych epigramatów. Prześledzenie wszelkich znaczeń, jakie leksem *frasca* przyjmował w mowie współczesnych twórcy mieszkańców Italii, a źródłem wyjątkowo wielu odkryć okazuje się dawna frazeologia, umożliwiła Lenartowi stworzenie obszernej siatki skojarzeń, w które uwikłana okazuje się „fraszka” i które w jakimś stopniu oddziaływać musiały na podjętą przez autora terminologiczną decyzję: od głupstwa i drobnostki, po dowcipkowanie, błazenadę i ogólnie pojętą chwiejność. Docieklivość badacza tym bardziej godna pochwały, że niektóre z nich umknęły jego poprzednikowi, rodowitemu przecież Włochowi. Szczególne znaczenie przypisuje on wszakże jednemu z nich. Choć od dawna wiadomo, że wyraz *frasca* w swym pierwotnym sensie odnosił się do pokrytej liśćmi gałązki, dopiero Mirosław Lenart zwrócił uwagę, iż *frasca* z akcentem w wygłosie (albo inaczej *frascato*) to przede wszystkim sporządzone z gałęzi zabezpieczenie przed nadmiernym upałem, jakie dla wygody gości rozwieszali właściciele karczem, winiarni, a nieraz i lupanarów. Skojarzenie to, oprócz tego, że pozwala w nowym, niesłowiańskim kontekście umiejscowić pełniącą analogiczną do *frascato* rolę czarnoleską lipę, jeszcze silniej wiąże zbiór Kochanowskiego z wpisaną weń tematyką konwiwialną i ponownie każe spojrzeć na niego jako ekwiwalentny wobec zbioru łacińskich foricynów, których nazwa przywołuje to samo wszak pole semantyczne.

Z podobnym zaangażowaniem próbuje zmierzyć się Autor rozprawy z zastanymi przekonaniem na temat Satyra, a w szczególności niejasnego pochodzenia postaci tego osobliwego mędrca. Podczas gdy prawie niezmiennie podkreślać się zwykło jego ściśle mitologiczne koneksje, z rzadka tylko

¹ S. Graciotti, *Fraszki i „fraszki”. Z Padwy do Polski*, t. T. Ulewicz, [w:] idem, *Od Renesansu do Oświecenia*, t. 1, Warszawa 1991, PIW.

wspominając o obecności Dzikiego Męża w ludowej tradycji północnej Italii, Lenart właśnie owe folklorystyczne uwikłania bohatera stawia w centrum swych dociekań, w nich między innymi upatrując źródeł tak specyficznej roli, w jakiej pojawia się on w powstałym później poemacie. Dla naświetlenia całej złożoności problemu badacz przywołuje szereg przykładów funkcjonowania figury Selvadego, gdyż takie miano nosił Satyr w lokalnym dialekcie, w znanym młodemu Kochanowskiemu kontekście kulturowym. Dokładne ich przeanalizowanie prowadzi do wniosku, że w równym stopniu co mitologicznego bożka wyobraża on wywodzącego się ze środowiska alpejskich chłopów nieokrzesanego wieśniaka, tyleż budzącego w postronnych lęk odludka, co niewyleczalnego w swym tradycjonalizmie nauczyciela prawdy. Autor zauważa ponadto, że w bliższych Kochanowskiemu czasach staje się Selvadego własnością kultury wysokiej, trafiając na deski teatru dworskiego jako postać komedii, farsy i dramatu pasterskiego. Nobilitacja ta dostęp przed królewskie oblicze umożliwić miała także Satyrowi z rodzimego poematu.

W podobnym kierunku, to znaczy dowartościowania wpływu, jaki na uprawianą przez poetę twórczość wywarły wywiezione z Italii spostrzeżenia i przeczytane tam lektury, zmierzają też rozważania z rozdziału szóstego, „*Santa villeggiatura*”, czyli *kultura renesansowego ogrodu w Czarnolesie*. Tym razem na odświeżające spojrzenie liczyć może między innymi *Pieśń świętojańska o Sobótce*, w przypadku której konstатовano już zarówno zależność wobec słowiańskiej obrzędowości, jak i tradycji antycznej (by wspomnieć tylko mitologiczny sznyt pieśni *Panny 9* czy horacjańską parafrazę w zakończeniu zbioru). Lenart z kolei ten zakres filiacji poszerzyć postanawia o współczesną Kochanowskiemu włoską poezję neolacińską, w szczególności o przypisywaną Francesco Colonne *Hypnerotomachię Poliphili*, z której to zaczerpnięte miałyby być tak harmonijna, przepelniona hermetycznymi sensami wizja ogrodu, jak i samo pojęcie Czarnego Lasu, odpowiednika *selva oscura*. Pomijając już same wątpliwości, czy Czarnolas aby na pewno konstruowany jest z pełną świadomością według modelu renesansowego ogrodu i czy rzeczywiście ogromnych rozmiarów dzieło Colonne da się uznać za klucz do rozumienia dużo skromniejszej *Sobótki*, stwierdzić wypada, że we wspomnianym rozdziale chyba bardziej niż w innych partiach książki odczuć się daje nieco nadmierna zawilość wyводу tudzież skłonność do kilkukrotnego powracania do raz już roztrząsanych problemów, tu dodatkowo potęgowanych przez drobiazgowy streszczenie *Hypnerotomachii*. Powstaje zarazem pytanie, dlaczego wobec tak konsekwentnych nawiązań do podjętych wcześniej rozważań na temat *frascato* i lipy dla rozdziału tego nie znalazło się miejsce tuż po rozdziale czwartym.

Książka Mirosława Lenarta wzbudza z jednej strony autentyczne zaciekawienie poruszonymi w niej kwestiami, z drugiej podziw dla nadzwyczajnej skrupulatności, z jaką Autor posługuje się dostępnymi sobie źródłami, by w najlepszy z możliwych sposobów uczynić zadość przyjętemu przez siebie niełatwemu zadaniu. Doskonałym przykładem godnej uznania akrybii, z jaką

traktuje on materię, o której pisze, może być choćby fragment poświęcony temu jednemu w swoim rodzaju znakowi obecności mistrza Jana w szesnastowiecznej Padwie, jakim jest *Epitaphium Cretcovii*. Czytelnik otrzymuje nie tylko szeroki rys kulturowo-towarzyskiego kontekstu, z jakiego bierze początek ten łaciński epigram, ale poznaje też dokładny wygląd samego nagrobka Kretkowskiego, jak i jego późniejsze losy. Nie same, gromadzone w dużych ilościach, ścisłe fakty są wszakże żywiołem, w którym bez reszty eksploatowałyby się badawcza energia Autora. Nie brak mu bowiem, i po wielekroć daje temu wyraz, także koniecznej dozy wyobraźni, która umożliwia pozornie niezwiązane ze sobą okoliczności połączyć całkiem prawdopodobną supozycją, a w dobrze znanych frazach doszukać się niewidocznych dla nikogo wcześniej sensów. Największa wartość jego publikacji zawiera się zresztą nie w warstwie definitywnych ustaleń, bo o takie generalnie niezwykle trudno, a raczej w tych niezliczonych pomysłach interpretacyjnych, jakimi z pełną zresztą świadomością ich aproksymatywności raczy czytelnika; tak jak w przypadku „fraszki”, kupca wykładającego swe towary albo wkładanych do mieszka kukiełek. Zamiast raz na zawsze domykać kolejne drzwi, częściej otwiera on kolejne, z pasją niezaspokojonego odkrywcy mnoży konteksty i szerokimi zamachnięciami kreśli tło kolejnych utworów. Miast hołdować utrwalonemu aksjomatom, dopowiada własną, choćby możliwą, prawdę, tym bardziej przekonującą, że nierzadko wziętą z własnych, naocznych spostrzeżeń i autentycznej pasji docierania do sedna.

Owszem, jak każdej rozprawie o jasno zdefiniowanej optyce, zarzucić można by książce Lenarta pewną skłonność do nadawania przesadnej roli zjawiskom, które postanawia się zgłębić, jak gdyby wszechobecny italia- nizm Kochanowskiego przyćmił miał znacznie jednak donioślejsze w przypadku poety inspiracje grecko-rzymskim antykiem. Nie wydaje się wszakże, by badacz nie był świadom właściwych proporcji w tym względzie. Swoją publikacją dopomina się raczej o docenienie być może zbyt rzadko w badaniach uwzględnianej włoskiej perspektywy czarnoleskiej poezji, także utworów pozornie jak najbardziej od niej odległych, i znaczenia, jakie w intelektualnym rozwoju przyszłego twórcy odegrały spędzone w Italii lata.

Radostaw Rusnak

Instytut Literatury Polskiej, Uniwersytet Warszawski